www.parafia-wierzenica.pl

Znak Dobra

Wierzeniczenia

7 [132] 2016

Na Drodze Tajemnic Różańcowych z modlitwą za zmarłych

Każdego roku w okolicy 1 listopada cmentarze zapełniają się ludźmi, którzy przyszli odwiedzić mogiły swoich bliskich. Błogosławię wszystkich, którzy nawiedzają nasz cmentarz parafialny, zdobią groby, dbają tutaj o porządek i zostawiają cząstkę swojej modlitwy. Jest to znak naszej duchowej pamięci o tych, którzy byli bliscy w naszym życiu. Dzisiaj należą do wieczności, często żałujemy, że nie ma ich obok nas. Niekiedy trudno jest się z tym pogodzić. Szczególnie błogosławię tych, którzy niedawno odprowadzali na miejsce wiecznego spoczynku swoich ukochanych.

Jako wspólnota miejsca pamiętamy w modlitwie o naszych zmarłych. Obok Mszy św. w dniu 1 listopada o 14.00, na cmentarzu gromadzimy się na liturgii także w czwartek będący dawnym świętem Wniebowstąpienia Pańskiego o 18.30 (w roku 2017 wypadnie to 25 maja) i 14 sierpnia o 22.00 w wigilię uroczystości Wniebowzięcia NMP. W Wielki Piątek, kiedy wspominamy mękę i śmierć Jezusa, idziemy o świcie o 4.45 na cmentarz z nabożeństwem Drogi Krzyżowej. Ostatnie stacje połączone są z modlitwą za zmarłych. Wszystkich zapraszam do udziału.

Osoby związane z naszym miejscem, a mieszkające już poza nim, każdego roku informuję jakie prace podejmowaliśmy w parafii. Wiosną po kilkuletniej przerwie ponownie zostały uruchomione kościelne dzwony. Przez kilka ostatnich lat z trzech istniejących odzywał się tylko jeden. Teraz został uruchomiony nowy automatyczny system, który na szereg lat do przodu zaprogramował

kiedy dzwony mają się odzywać. Oczywiście można je także uruchamiać w każdej dowolnej chwili i to nawet z dalszej odległości. Całkiem niedawno, bo w październiku zostały zamontowane w kościele nowe dębowe ławki. Poprzednie sosnowe przetrwały około 50 lat i były już mocno zniszczone.
Zadaniem z którego jesteśmy najbardziej dumni to kapliczki

Od lewej: x. Przemysław Kompf, Leszek Lesiczka /niestrudzony organizator/, Piotr Woliński /rzeźbiarz płaskorzeźb/, Jacek Napiontek /twórca kapliczek/, biskup Grzegorz Balcerek, x. Andrzej Magdziarz, x. Marian Sikora

Miły widok gdy „władze” są razem i współpracują.

od lewej:
Burmistrz Swarzędza Marian Szkudlarek, Wójt Czerwonaka Jacek Sommerfeld, Biskup Archidiecezji Poznańskiej Grzegorz Balcerek

różańcowe ustawione wspólnie z parafią w Kicinie na drodze polnej między naszymi miejscowościami. Są one niezwykle urokliwe, pięknie wykonane W sumie jest ich 20, tyle ile tajemnic różańca. Uroczyste poświęcenie drogi miało miejsce w niedzielę 2 października z udziałem wielu osób z obu parafii i licznych zaproszonych gości.. Zdjęcia z tej uroczystości są do obejrzenia na stronie internetowej parafii wierzenickiej. Jest to nasz duchowy i zarazem materialny wkład w jubileuszowe obchody 1050 lecia chrześcijaństwa na ziemiach polskich. Redakcja „Wierzeniczeń” przygotowała kolejny numer specjalny naszego wydawnictwa

Przyjaciel Wierzenicy pan Stasiu Witecki jak zawsze pośród nas.

poświęcone Drodze Różańcowej. Przed 1 listopada zrobiliśmy specjalny dodruk aby nasi goście mogli po niego sięgnąć.

Od dłuższego czasu jako parafia zabiegaliśmy o doprowadzenie oświetlenia do cmentarza. Latem br. latarnie zostały ustawione. W dniu 13 października po zakończeniu wszystkich odbiorów technicznych, latarnie po raz pierwszy rozbłysły. Wieczorem będzie o wiele bezpieczniej. Lampy oświetlają drogę, cmentarz i przystanek. Gmina na nasz wniosek podjęła także kwestię zmiany planu zagospodarowania przestrzennego w Wierzenicy uwzględniając potrzebę poszerzenia cmentarza. W tej chwili ruszyła procedura powiadamiania rozmaitych instytucji o planowanej zmianie. Każdy musi odpowiedzieć, że nie wnosi zastrzeżeń. Potrwać to może do roku. Parafia jest przygotowana do zakupu od Agencji Rolnej od 0,5 do 1 ha ziemi z przeznaczeniem na ten cel.

Listopadowe „Wierzeniczenia" są zawsze poświęcone naszym drogim zmarłym związanym z Wierzenicką Ziemią. Także w tym roku mamy miły obowiązek podziękowania za nadesłane nam materiały, za rozmowy i spotkania, dzięki którym możemy sobie przypomnieć wiele pięknych postaci, które jeszcze niedawno były nami.

Bardzo dziękuję za wszystkie ofiary złożone do skarbony i na tacę w czasie Mszy św. w dniu 1 listopada na cmentarzu. Przeznaczamy je w całości na wywóz śmieci z cmentarza. Koszt wywozu za ostatni rok licząc od początku października 2015 do końca września br. wyniósł 8500 zł. Jest to kwota mniejsza niż w zeszłym roku ale i tak dość znaczna.

x Przemysław Kompf

Zofia Rybarczyk
wspomina swoją babcię i mamę

Moja babcia i mama napisały swoim życiem „piękne księgi”. Często wracam do ich stronic aby pokrzepić swoją duszę. Dziękuję Wam za wszystko co dla nas uczyniłyście

O śp. Jadwidze Frąckowiak. Tęskno mi do mojej babci...

Moja babcia Jadwiga Frąckowiak z d. Schaschner urodziła się 8 X 1910 roku w Mielnie jako pierwsze dziecko w rodzinie. Potem miała jeszcze dwóch braci: Stanisława i Wojciecha. Wyszła za mąż za Antoniego Zwiernika, pochodzącego z Kicina. Nie cieszyła się długo tym małżeństwem., ponieważ jej mąż został zabity 22 I 1936 roku, nieopodal przejazdu kolejowego w Uzarzewie. Wracał wtedy rowerem od teściowej z Karłowic do swego domu. W pewnym momencie pojawił się leśniczy i strzelił do niego raniąc go. Antoni zdążył się jeszcze doczołgać do budki kolejowej ale niestety nie został uratowany. Miał

Jadwiga Frąckowiak z córką Teresą ok. 1940 r.

Babcia Jadwiga z wnukami w drodze do kościoła,
z lewej brat Andrzej Rybarczyk, z prawej Leszek Adamczyk.

wówczas 32 lata. Ten leśniczy nigdy nie poniósł konsekwencji tego czynu. Tłumaczył się, że został oślepiony przez jakieś światła i przez przypadek zranił śmiertelnie Antoniego Zwiernika. Babcia miała wtedy 26 lat, została wdową z czwórką dzieci, mojej mamy nie było jeszcze wówczas na świecie.

Jadzia po śmierci męża zamieszkała ze swoimi pociechami i z bratem Wojciechem w Gortatowie. Tam poznała mojego dziadka Jana Frąckowiaka, który mimo sprzeciwu rodziny (wynikającego z posiadania przez babcię czwórki dzieci), ożenił się z Jadzią i zamieszkał na Ratajach w Poznaniu. 11 XII 1938 roku urodziła się moja mama Teresa jako piąte dziecko w rodzinie. Krótko przed wojną światową dziadek Jan dostał pracę jako naczelnik poczty w miejscowości Włochy pod Warszawą i tam przeprowadził się z rodziną. Przez całą wojnę babcia wychowywała sama, ponieważ jej męża wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec. Pracowała jako kucharka w szpitalu., wykonywała różne prace jako pomoc domowa. Najtrudniejsze chwile przeżyła gdy zmarło jej najmłodsze dziecko,

kilkumiesięczna Marysia. Potem jeszcze gdy zamknięto ją w więzieniu na Pawiaku, ponieważ pomagała Żydom, przerzucając jedzenie do getta, podbierając je z przyszpitalnej kuchni. Nie dość, że została uwięziona, to jeszcze dodatkową traumą była rozłąka z dziećmi. Bardzo to wszystko musiała przeżyć bo nawet w wieku 75 lat, gdy wszystko inne umknęło jej z pamięci, cały czas powtarzała, że musi iść do swoich dzieci, zaopiekować się nimi bo zostały same. Kiedy babcia była w więzieniu rodzinę doglądała sąsiadka pani Kuczyńska, która przynosiła dzieciom obiady itd. Niemiecko brzmiące nazwisko panieńskie i pochodzenie z terenów włączonych do Rzeszy (Kraj Warty), pomogły babci wyjść z więzienia. Równie trudne chwile przeżyła Jadzia podczas Powstania Warszawskiego. Ustawicznie bała się o życie rodziny. Trudno było o żywność, nie raz szła wiele kilometrów km po chleb.

Dziadek Jan z robót przymusowych z Niemiec wrócił prawdopodobnie w roku 1947. Niestety małżeństwo babci nie przetrwało, dziadkowie rozeszli się. Jadzia wróciła w swe rodzinne strony. Zamieszkała w Koziegłowach, tam rodzinę jej przygarnął brat Stasiu. Dziadek został w Warszawie. Po jakimś czasie babcia dostała mieszkanie we Wierzonce. Naprzeciw sklepu.. Ciężko pracowała jako kucharka w stołówce SHR we Wierzonce, czasem gotowała na weselach. Była bardzo pracowitą osobą. Dbała o rodzinę, o dom., o ogród. Ogródek podziwiało wiele osób, zawsze było w nim dużo kwiatów, szczególnie piękne były irysy i róże. Babcia kochała lasy. Często zabierała mnie i moich braci na jagody, maliny, jeżyny, poziomki, a przede wszystkim na grzyby. Doskonale znała miejsca gdzie i jakie grzyby rosną, zbierała takie, które rzadko kto odważyłby się podnieść. Ona doskonale wiedziała, które są jadalne. W czasie gdy mama była w pracy, babcia opiekowała się mną i moimi braćmi. Nauczyła mnie wielu rzeczy: modlitwy, wielu prac domowych, haftowania. Wyszywałyśmy z babcią i mamą serwety, obrusy, poduszki, narzuty. Jadzia była znana również z tego, że potrafiła nastawiać zwichnięcia stawów. Wielu osobom pomogła.

Około 60 roku życia babcia miała wylew krwi do mózgu.. Po wylewie zaczęły się pojawiać problemy z pamięcią. Przez ostatnie 10mlat nie rozpoznawała nikogo. A mówiła tylko o czasach swej młodości. Zmarła 1 X 1987 roku. Jest pochowana na cmentarzu przy ul. Poznańskiej w Swarzędzu razem ze swoim pierwszym mężem

Antonim Zwiernikiem. Babcia Jadzia była bardzo dzielną, pracowitą gospodarną i pomocną osobą. Kochała rodzinę a nade wszystko Pana Boga. Wieczorami widziałam ją z Biblią w ręku.. Poprzez swoje troski i cierpienia miała wielkie zaparcie, nie ugięła się pod ciężarem losu. Tęskno mi do Ciebie Babciu...

wnuczka Zofia Rybarczyk

O śp. Teresie Rybarczyk. Tęskno mi do mojej mamy...

Moja mama Teresa Rybarczyk urodziła się 11 XII 1937 roku w Poznaniu jako piąte dziecko Jadwigi Frąckowiak. Ojca swego prawie nie znała. Jej rodzice rozstali się gdy miała dziewięć lat. Matka zamieszkała w Wierzonce, a ojciec został w Warszawie. Od tego czasu mama tylko raz spotkała się ze swoim tatą, już w dorosłym życiu, prawdopodobnie w 1963 roku ale i tak później nie utrzymywał z nią kontaktu. Teresa jednak mimo mimo wszystko po wielu latach próbowała go odnaleźć. Pamiętam, że kosztowało ją to wiele trudu. Kiedy dowiedziała się gdzie ojciec ostatnio mieszkał, okazało się, że już nie żyje. Zmarł 31 V 1971 roku. Jest pochowany na cmentarzu na Bródnie w warszawie. Mama wyszła za mąż za mego ojca Tadeusza Rybarczyka 20 VII 1958 roku w Wierzenicy. >>>

Z tego związku zrodziło się troje dzieci: Leszek, Andrzej i Zofia. Tato zmarł przed Wielkanocą 1 IV 1999 roku, był to Wielki Czwartek. Rodzice przeżyli ze sobą 41 lat. Było to bardzo kochające się i zgodne małżeństwo. Po pewnym czasie Teresa wyszła za mąż za Jerzego Knopika. Miało to miejsce także w Wierzenicy 5 X 2001 roku. Niestety, ojczym ciężko zachorował. Zmarł 24 VI 2007 roku. Przez ponad dwa lata mama opiekowała się nim w chorobie. Teresa już jako dziecko ciężko pracowała od dwunastego roku życia w SHR w Wierzonce aby pomóc babci, która wychowywała sama

pięcioro dzieci. Kiedy miałam pół roku zaczęła pracować w sklepie w Wierzonce. Po kilku latach zrezygnowała i podjęła pracę w Centrze w Poznaniu. Jednakże po jakimś czasie wróciła do sklepu. Podobno do GS „Samopomoc Chłopska" (wówczas jeszcze w Czerwonaku) od mieszkańców Wierzonki list polecający ją na stanowisko kierownika. Pamiętam jak po godzinach pracy przynosiła do domu dokumentację – raporty, kartki żywnościowe, które trzeba było posegregować, ponaklejać na arkusze papieru i rozliczyć. Było wtedy mnóstwo pracy. Często przy tym pomagałam. W sklepie w Wierzonce przepracowała około 40 lat. Moja mama była społecznikiem. Jeszcze zanim została sołtysem pomagała innym, pisząc różne wnioski do urzędu gminy, ZUS, do ośrodków pomocy społecznej. Gdy samotnie wychowujący ojciec pięcioro dzieci potrzebował mieszkania, załatwiła je w Wierzenicy. Kiedy odwróciła się rodzina od pana, który był bez nóg, jeździł na wózku inwalidzkim, znalazła mu miejsce w domu opieki społecznej. Gdy tata zachorował pomagała mu m. in. w obowiązkach sołtysa. Mama również pełniła tą funkcję w latach 1999 – 2007. Będąc sołtysem nie bała się wyzwań. Sporo uczyniła dla poprawienia infrastruktury w Wierzonce. Często sama porządkowała otoczenie bloku i na przystankach autobusowych. Była jednym z założycieli i działaczem Caritas przy parafii w Wierzenicy.

Mama uwielbiała podróże. W związku z tym dużo pielgrzymowała. Była duszą towarzystwa. Znała mnóstwo pieśni, nie tylko religijnych ale też patriotycznych, biesiadnych. Miała pamięć do wierszy. Często w autobusie na [pielgrzymkach recytowała chyba 50 zwrotkowego „Kopciuszka". Wiele osób wzruszało się przy wierszu Adama Mickiewicza „Powrót taty".U nas w domu zawsze było wielu gości, nie tylko dlatego, że babcia Jadzia mieszkała z nami ale dlatego, że moja mama była bardzo gościnna. Mówiła „gość w dom, Bóg w dom". Prawie każde święta moi bracia z rodzinami spędzali w naszym domu. Często była u nas siostra mamy z rodziną z Warszawy. Czasami gościli u nas kilka tygodni.

Teresa dobrze gotowała, piekła, do dziś wiele osób wspomina jej serniki i seromakowce. Lubiła pracę na świeżym powietrzu np. W ogródku. Mam pięknie haftowała serwety, obrusy, narzuty. Do tej pory w moim domu pozostało wiele jej prac. Po śmierci ojczyma w 2007 r. Widać było, że podupadła na zdrowiu. Było to trudne do

uwierzenia, gdyż zawsze tryskała energią. Mimo to jak najdłużej chciała być samodzielna. Po udarze od października 2013 roku mieszkała u mnie. Co miesiąc ją księża z Najświętszym Sakramentem. Prze te wszystkie miesiące byłam przy mamie bez przerwy, opiekowałam się nią. Ostatnie tygodnie spędziłam przy niej modląc się na różańcu i odmawiając koronkę do Miłosierdzia Bożego. Mama zmarła 23 XII 2014 roku. Zawsze powtarzała, że św Tereska od Dzieciątka Jezus jest jej patronką. Tęskno mi do Ciebie Mamo...

córka Zofia Rybarczyk

Wszyscy znaliśmy żywotność Teresy Rybarczyk. Rzeczywiście lubiła podróżować. Kilka razy była z nami na wakacjach, wtedy faktycznie zabawiała nas recytacjami i śpiewami. Lubiła to robić i miło się jej słuchało. Odwiedzając z Komunią św. śp. Jerzego Knopika widziałem jak jego druga małżonka Teresa Rybarczyk krząta się obok niego z iście samarytańskim poświęceniem. Kilka razy myślałem sobie, co by zrobił ten człowiek po śmierci żony gdyby po przymusowym opuszczeniu służbowego mieszkania musiał sam zamieszkać w Biedrusku. W osobie Teresy znalazł niezawodne wsparcie.

dop. xPK

Maria Rybarczyk z d. Mikołajewska oczami córki Magdaleny

Maria urodziła się w rodzinie Wielkopolan z dziada i pradziada i od wielu pokoleń związanych z parafią św. Mikołaja w Wierzenicy. Pradziadek Marii był jednym z działaczy pomagającym w założeniu kółek rolniczych w naszej okolicy. Wychowała się w ciężkich czasach wojny, kiedy wysiedlono ich z własnego gospodarstwa

i przenoszono. Między innymi mieszkała z rodziną <<< w ochronce pod strzechą w Wierzenicy, później również w gorzelni w Wierzenicy. W tym czasie ojciec i wuj walczyli na wojnie. Ojciec Teofil został pojmany i trafił na roboty w Niemczech. Jemu jednak się udało, wrócił jeszcze w czasie wojny do Polski i tu musiał pracować dla okupanta pod zarządcą niemieckim. Jego brat Jan Mikołajewski nie miał tyle szczęścia jako oficer Wojska Polskiego trafił do obozu jenieckiego w Starobielsku, według informacji Czerwonego Krzyża zginął w kwietniu 1940 roku w okolicach Charkowa.
Po wojnie Maria ukończyła szkołę podstawową w Wierzonce oraz Technikum Gastronomiczne w Poznaniu. Po szkole pracowała przez jakiś czas w Stacji Hodowli Roślin w Wierzonce jako laborantka. Mama była pogodną, radosną i rodzinną osobą, przy tym bardzo pracowitą. Jak to się mówi: „i do tańca i do różańca". Jak mawia nasz tato, ile się oni napracowali, to tylko oni wiedzą i Pan Bóg. Inni widzieli tylko owoce ich pracy i może zazdrośnie mówili: „wam to samo się darzy i z nieba leci bo wy Józef i Maria". Mama tylko wzdychała i robiła swoje. Późną nocą, gdy wszyscy już spali, ona jeszcze piekła ciasta lub przygotowywała obiad na dzień następny, by ludzi przychodzących do pracy w polu, z którymi pracowała ramię w

ramię, mogła poczęstować jedzeniem. Nie chciała by głodni wracali doi domu po ciężkiej pracy. Mimo zmęczenia i głębokiej nocy, kiedy kładła się spać miała jeszcze siły uklęknąć i podziękować Panu za szczęśliwy dzień i prosić o dobrą noc. Niedziela to zawsze dla mamy był święty dzień. Mimo pracy w gospodarstwie 7 dni w tygodniu na sumę o 11.00 do Wierzenicy jechała zawsze rowerem, albo z tatą motorem lub bryczką, później już samochodem. Potem był świąteczny obiad w gronie rodziny. Mama wychowana była w rodzinie, gdzie Bóg honor i Ojczyzna oraz miłość do rodziny, to najważniejsze w życiu wartości. Tak też przez całe życie postępowała, a wartości te też starała się przekazać nam swoim dzieciom. W czasach gdy rozwody stały się codziennością, a ludzie skaczą sobie do oczu, mama wytrwała przy ojcu w miłości i oddaniu 55 lat i przerwała to jej śmierć. Całym swoim życiem nauczyła nas pracowitości mawiając: „drogie dzieci, bez pracy nie ma kołaczy". Także myślenia, tak na „chłopski rozum": „nie czyń drugiemu co tobie niemiłe", albo „czyń dobro, a dobro do ciebie powróci". Mama rodzinę kochała całym swym sercem, uwielbiała rodzinne spotkania . W imieniny dom był zawsze pełen gości. Bliższa i dalsza rodzina schodziła się wtedy i gościła. Nasz dom był zawsze domem otwartym dla każdego. Czasami gdy byłam dzieckiem pytałam mamy, czy ona nie jest tym zmęczona. Osobiście od samego samego gwaru czułam zmęczenie, a ona tylko się uśmiechała i odpowiadała: „to przecież nasza rodzina, a najważniejsze w życiu by ją mieć i pielęgnować".
Urodziła nas pięcioro i myślę, że na dobrych ludzi nas wychowała wraz z ojcem. Szanujemy się, nadal pielęgnujemy rodzinne spotkania, które tak lubiła i wszyscy trwamy w wieloletnich małżeństwach dbając i kochając swe rodziny. Miałaś rację mówiąc, że rodzina to największy skarb, cóż po pieniądzach, cóż po skarbach

materialnych gdybym miłości nie miała. Za miłość do rodziny Bóg odwdzięczył się tym, że gdy odchodziła do wieczności, rodzina była przy niej i modliła się z nią a potem za nią.

Córka Magdalena Rybarczyk

Do świadectwa córki, dołożę od siebie krótkie słowo: potwierdzam serdeczną gościnność, której sam doświadczyłem np. w czasie kolędy. Marię zapamiętam z trzech obrazów: kiedy pełna pogody tańczyła z kimś w dniu 55 rocznicy ślubu w czasie rodzinnego przyjęcia. Małżonek siedział wtedy ze mną przy stole i razem patrzyliśmy jak ona żwawo wiruje w tańcu. Obraz drugi związany był z moim przyjściem do niej z sakramentami św. Było to zaledwie kilka miesięcy po jubileuszu. Powiedziała mi wtedy: „jestem śmiertelnie chora, chcę się dobrze przygotować na tą chwilę". Trzeci moment to Wielki Wtorek 2015 roku, kiedy razem z ks. Waldemarem Twardowskim udaliśmy się do chorej z Komunią św. (wnuczka Marii Rybarczyk pomagała ks. Waldemarowi w pracy w ośrodku). Zastaliśmy chorą otoczoną prze szereg osób z rodziny i wspólnie razem się modlących. Pomyślałem sobie wtedy: „łaska dobrej śmierci".

Dop. xPK

Nowa tabliczka na kościelnej ławce. Wspomnienie o Marianie Godziejewskim.

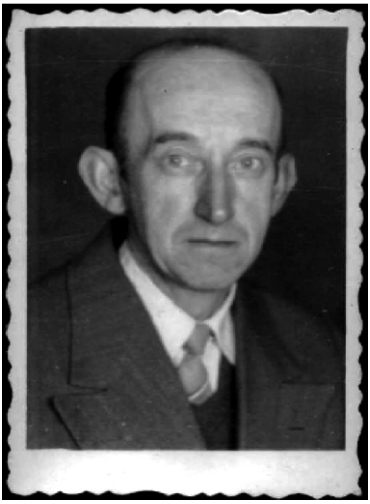

W październiku br. roku w kościele parafialnym w Wierzenicy ustawione zostały nowe ławki. Dwa dni wcześniej ze świątyni wyniesiono stare, które służyły mieszkańcom ok. 55 lat. Kiedy oglądałem je, widziałem, że rzeczywiście dożyły już swoich dni. Objedzone przez korniki, tu i ówdzie nadłamane, naprawiane mogły oczywiście jeszcze jakiś czas postać. Udało się jednak zamówić nowe. Stare poszły na opał. Około 1961 roku wykonał je dla kościoła mieszkaniec Wierzenicy śp. Marian Godziejewski. W listopadowych „Wierzeniczeniach" w 2012 roku pisaliśmy o nim i o jego małżonce Kazimierze. Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie aby powtórzyć to wspomnienie, raz jeszcze dziękując za pracę wykonaną na rzecz kościoła, która tak długo służyła ludziom. Pomyślałem sobie, że byłoby pięknie gdyby każdy z nas zostawił po sobie dla innych coś co będzie służyło innym jeszcze przez pół wieku. Na nowych ławkach kazałem uhonorować śp. Mariana Godziejewskiego tabliczką z imieniem i nazwiskiem, rezerwując mu miejsce.... w naszej wdzięcznej pamięci.

Przed 4 laty nasze wspomnienie powstało w oparciu o opowiadanie dwóch osób mieszkających w Wierzenicy: Iwony Walent i Barbary Strojnej. Powtarzamy je z pewnym skrótem.
„Byli to niezwykle kochani ludzie... W czasach kiedy ogarniamy ich pamięcią mieszkali z mamą Mariana, która była już sparaliżowana. Przez kilka lat bardzo troskliwie opiekowali się chorą. Wychowali trzy córki, które po wyjściu za mąż wyjechały z Wierzenicy. Marian pracował jako stelmach czyli kołodziej. Był zatrudniony w tutejszym

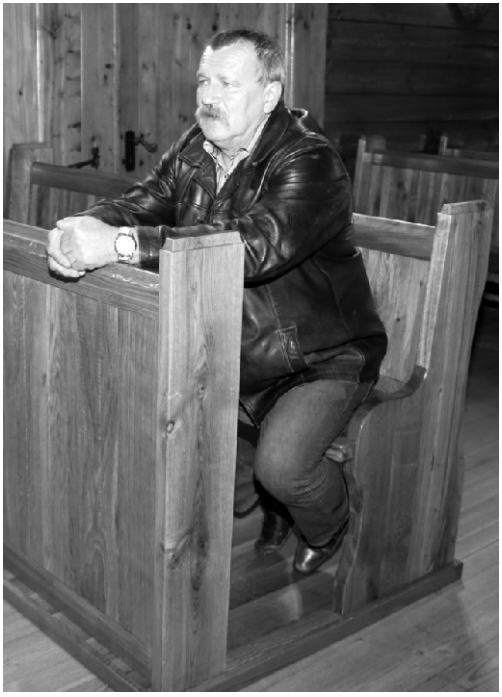

Pan kościelny Wojciech sprawdza nowe ławki

majątku. Do jego obowiązków należała naprawa sprzętu rolnego i gospodarczego, szczególnie elementów drewnianych. Dał się poznać jako pan „złota rączka". Kiedy komuś popsuły się drzwi, złamało krzesło itp., wtedy biegło się po pomoc do pana stelmacha. Naprawiał meble, drabiny, korytka dla zwierząt. Przychodził, trzymając zawsze w ręku drewnianą przez siebie zbitą skrzyneczkę z narzędziami. Był niezwykle uczynny. Skory do pomocy, przy czym delikatny w obejściu. Nigdy nie widziało się go podpitego, ani palącego papierosy, nie słyszało się też na jego ustach przekleństw. Letnie wieczory lubił spędzać na ławeczce przed domem razem z żoną. Nie szukał towarzystwa kolegów. Rodzina była dla niego święta. Małżonkowie szanowali się nawzajem. Przez szereg lat budowali sposobem gospodarczym nowy dom na Ligowcu. Nigdy się do niego nie przeprowadzili. Zamieszkała w nim najstarsza z córek..... Oboje małżonkowie byli bardzo pobożni. Regularnie chodzili do kościoła. Chętnie angażowali się w sprawy parafii. Mało kto wie, że ławki w naszym kościele wykonał właśnie Marian Godziejewski. Niestety, nie wiemy gdzie on je wykonywał. .Na pewno miało to miejsce około roku 1960.(P. Basia pamięta jeszcze z wczesnego swego dzieciństwa stare wąskie ławeczki w kościele, p. Iwona mówi, że kiedy sprowadziła się do Wierzenicy w 1962 roku były już nowe – dop. red.). W późniejszych latach pomagał ks. Marianowi Dominiczakowi w remoncie kościoła, także ks. Janowi Pieczonce w pracach ciesielskich przy budowie kaplicy w Karłowicach....

Pierwszy z małżonków zmarł Marian. Nastąpiło to w dniu jego imienin w święto Wniebowzięcia NMP 15b sierpnia 1989 roku. Miał wtedy 77 lat. Umierał przytomnie, mówiąc, że widzi „Piękną Panią”. Ona stosunkowo krótko po nim. Ostatnie lata mieszkała u najmłodszej córki w Poznaniu”.

oprac. x Przemysław Kompf
Całość tekstu „Wierzeniczenia” **8/94/2012,** s.4-6

Nasz Tato Stanisław Brodowski

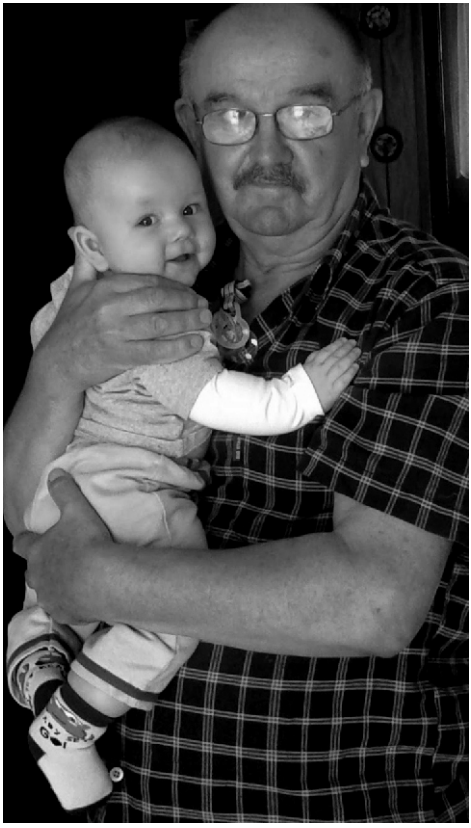

Nasz Tato urodził się 25 kwietnia 1948 roku w Karłowicach. Był najmłodszym dzieckiem Michała i Józefy, miał czworo rodzeństwa: Zygfryda, Joannę, Czesława, Annę. Do szkoły podstawowej chodził w Wierzonce. Po ukończeniu szkoły przeprowadził się w 1966 do Konina i tam w firmie Elektromontaż Warszawa pracował przy budowie elektrowni Pątnów. Po trzech latach wrócił do Poznania, gdzie także pracował w branży budowlanej. W Karłowicach znalazł miłość swojego życia – naszą mamę Jadwigę Natkowską. Pobrali się 26 kwietnia 1981 roku w kościele w Wierzenicy. Mama była o 6 lat młodsza od ojca. Jak nam opowiadał Tato, ich zaślubiny nie był huczne, a to dlatego, że 16 marca zmarł nasz dziadek Michał. Babcia opuściła go szesnaście lat wcześniej – 1 maja 1965 roku, oboje są pochowani na wierzenickim

cmentarzu. Tym samym nie dane było nam poznać naszych dziadków Brodowskich. Ósmego marca 1982 roku urodził się Łukasz, starszy z nas, a 17 lipca 1983 roku młodszy – Piotr. Przez pierwsze lata naszego życia mieszkaliśmy z rodzicami w Karłowicach. Potem, w 1985 roku rodzice przeprowadzili się do Koziegłów, dostali mieszkanie w bloku. Jak opowiadał nam Tato, zdobyte dzięki pomocy naszego dziadka Mariana Natkowskiego. Niestety nie było nam dane cieszyć się długim życiem z rodzicami. Mama zaczęła zapadać na zdrowiu, po długiej i ciężkiej chorobie zmarła 20 kwietnia 1996 roku. Nie doczekała pójścia

Łukasza do szkoły średniej. Po jej śmierci Tato musiał samotnie zająć się wychowaniem nas. To oznaczało dla niego wiele nowych obowiązków, jak choćby gotowanie. Wierny pamięci mamy nigdy nie myślał o szukaniu kolejnej partnerki. Na emeryturę przeszedł w 2008 roku, po 42 latach pracy. Od 2013 roku ósmy marca jest w naszej rodzinie podwójnym urodzinowym świętem, Łukaszowi i Karolinie urodził się syn Filip. Tato był przeszczęśliwym dziadkiem i na ile pozwalało mu szwankujące zdrowie (już od kilku lat zmagał się z chorobą) spędzał z nim czas. Niestety nie będzie mu danym przekazanie wnukowi swojej wiedzy i zamiłowań. Interesował się fotografią, majsterkowaniem i nowinkami technologicznymi oraz krzyżówkami. My, synowie odziedziczyliśmy je, Łukasz interesuje się komputerami. To on i ojciec dbali o prawidłowe działanie tych sprzętów w naszym domu. Tata pomimo swojego wieku wszystkie sprawunki załatwiał za pośrednictwem komputera jeżeli miał taką możliwość, bez większych problemów mailował, korzystał z bankowości mobilnej. Piotr odziedziczył talent do majsterkowania, razem z ojcem sami dokonywali wszelkich napraw. Pomagał nam w zdobyciu wykształcenia, zachęcał do podejmowania wyzwań. Razem odwiedzaliśmy groby mamy i dziadków. Straciliśmy go 16 marca 2016 roku, nim od nas odszedł bardzo cierpiał. Jego prochy pochowaliśmy w grobie mamy. Rodzice przekazali nam wiedzę i ukształtowali. Dzięki nim jesteśmy kim jesteśmy i za to jesteśmy im niezmiernie wdzięczni.

Synowie Piotr i Łukasz

Kolega od ...

Stanisław Brodowski przez wiele lat mieszkał w Karłowicach. Razem chodziliśmy do szkoły, choć starszy o 3 lata, to zdarzało się, że mieliśmy wspólne zajęcia w ramach klas łączonych. Pamiętam lekcję śpiewu w sali „po schodkach". Wchodziło się do niej z półpiętra (teraz jest tam pracownia komputerowa). Zajęcia te prowadził kierownik Konrad Itman grając na skrzypcach. Chyba nie tylko ja nie najlepiej odbierałem zawodzący dźwięk tego instrumentu (od tamtego czasu miałem wyraźną awersję do skrzypiec i dopiero brawurowa gra Vanessy-Mae Vanakorn Nichols zdołała ją pokonać). W każdym razie kilkorgu z nas śpiewanie wyraźnie nie wychodziło, a na dodatek wspomagaliśmy brak naszego zaangażowania rozmowami. Rozzłoszczony kierownik odręcznie, przy pomocy smyczka, wprowadził nas na tory nauki, na szczęście już bez skrzypiec. Spora część naciągniętych w smyczku włosów z końskiego ogona nie wytrzymała nie muzycznego jego użycia. Oczywiście żadnemu z nas nawet nie przyszło do głowy poskarżyć się w domu, bo wstyd, no i solidne trzepanie tyłka byłoby jak w banku. Po podstawówce nasze drogi na jakiś czas rozeszły się. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku połączyły nas dwie pasje – rower i aparat fotograficzny. Naszymi rowerami, najpierw zwykłymi, na szerokich oponach i oczywiście bez przerzutek, potem turystycznymi (Wagant) na węższych oponach i z przerzutkami jeździliśmy po bliższej i dalszej okolicy. Najchętniej zapuszczaliśmy się w lasy Puszczy Zielonka. Zwykle mieliśmy ze sobą aparaty fotograficzne. Fotografowaliśmy las, krajobrazy, interesujące swoim wyglądem rośliny. Wszystkie ówczesne aparaty miały obiektywy stałoogniskowe, nie miały autofocusa, a parametry ustawiało się ręcznie według własnej wiedzy, a nierzadko na wyczucie jak nie miało się światłomierza. Chcąc wykonać jakieś ujęcie, na którym nam zależało, trzeba było podchodzić bliżej czy oddalać się, czasem na coś wchodzić. Niekiedy różnie się to kończyło, ot choćby wpadnięciem do Jeziora Czarnego koło Czernic. Cała późniejsza epopeja to wywoływanie filmów i zdjęć (filmy i zdjęcia czarno-białe można było spokojnie wywoływać w warunkach domowych). Potem przychodził czas na zażarte dyskusje o tym co i jak udało się nam lub nie. Inaczej było, kiedy robiliśmy barwne przeźrocza. Trzeba było rozstrzygnąć dylemat kiedy nacisnąć migawkę, tu materiał był znacznie droższy, a i z

początku wysyłało się go do wywołania do Bydgoszczy. Obrazy z rzutnika zainspirowały Stacha do sięgnięcia po kamerę, zaczął kręcić filmy, nie pamiętam już na taśmie jakiej szerokości.
Któregoś roku wybraliśmy się na wyprawę z dala od domu. Pociągiem pojechaliśmy do Częstochowy, zwiedziliśmy klasztor na Jasnej Górze i miasto. Potem autobusami i pieszo wędrowaliśmy po Szlaku Orlich Gniazd oglądając zamki (najczęściej ich ruiny), wapienne ostańce i jaskinie krasowe. Spaliśmy w namiocie i zwykle sami przyrządzaliśmy sobie posiłki. Jedną z nocy przespaliśmy w sąsiedztwie ruin zamku w Mirowie, inną w wynajętym pokoju – warto było porządnie umyć się. Chyba w Olkuszu skończyły się nam domowe zapasy. Wchodząc do jakiegoś sklepu usłyszeliśmy skierowaną do klientki odpowiedź, że konserw nie ma (był to już czas, kiedy zakup wyrobów mięsnych nie należał do łatwych). Udając, że tego nie słyszeliśmy zapytaliśmy o konserwę mięsną, pani sprzedawczyni uważnie zlustrowała nas wzrokiem. Widać nasz turystyczny wygląd zrobił odpowiednie wrażenie, bo poszła na zaplecze i przyniosła dwie puszki. Wyprawę skończyliśmy w Krakowie.
Nasze drogi z wolna zaczęły rozchodzić się, kiedy w 1978 roku poślubiłem Ewę, niektórym osobom znaną jako Jarka. Miałem mniej czasu na wspólne wyprawy. Stach jeszcze chadzał samopas. Jednak któregoś razu, kiedy spotkaliśmy się po sylwestrze powiedział mi, że coś zaiskrzyło między nim a Jadzią – sąsiadką zza ściany. Zaiskrzyło i uczucie rozgorzało, w kwietniu 1981 roku pobrali się. Po jakimś czasie udało się im zdobyć mieszkanie w bloku w Koziegłowach. Zajęcie się swoimi rodzinami, obaj doczekaliśmy się po dwóch synów i już nie kilometr, a ich kilkanaście pomiędzy miejscami naszego zamieszkania (nie było komórek, żeby się z chwili na chwilę umówić), skutecznie ograniczyły nasze wspólne wyjazdy. W mniejszym stopniu rozmowy na tematy fotograficzne. Choroba Jadzi odebrała mu ją na kilka dni przed piętnastą rocznicą ich ślubu. Nierzadko spotykaliśmy się przy jej grobie na wierzenickim cmentarzu. Później usłyszałem z ust jego siostry Joanny, że choruje. Kiedy spotkaliśmy się potwierdził, ale i powiedział, że uparcie walczy. Niestety po latach zmagań, 16 marca 2016 roku, niemal dwadzieścia lat po Jadzi przegrał tę walkę. Jego prochy spoczęły w jej grobie na naszym cmentarzu.

Włodzimierz Buczyński

Pani Halinka

Do domu pani Haliny Bera trafiłem najpierw sam, skierowany przez Kazimierza Kowalskiego związanego przez dziesiątki lat z kobylnicką szkołą. Było to kilka lat przed przełomem wieków i tysiącleci. Potem wielokrotnie bywaliśmy tam z żoną. Pani Halinka, tak później zwracałem się do niej, okazała się osobą niezwykle otwartą i prawdziwą skarbnicą wiedzy o Kobylnicy i najbliższych okolicach. Chętnie dzieliła się interesującymi nas wiadomościami. Niektóre z nich miała w osobistym archiwum, inne były w jej głowie. Wiedziała też, u kogo spośród mieszkańców Kobylnicy można szukać wiedzy na konkretny temat. Dzięki niej trafiliśmy między innymi do potomków Wojciecha Jędroszyka (majordomusa Augusta Adolfa „Gugi" Cieszkowskiego), Wandy Wasik, Anieli i Michała Stachowiaków. Później, kiedy pojawiał się jakiś temat Pani Halinka, jeśli nie miała akurat czegoś na podorędziu mówiła, zapytam i może się dowiem. Szczególnie cenna była jej pomoc przy gromadzeniu materiałów na 850-lecie Wierzenicy i Wierzonki, o powstańcach wielkopolskich (napisała do „Wierzeniczeń" biogram Adama Skoniecznego), czy na temat Lucjana Latosińskiego. Nasze kontakty nie były oczywiście jednostronną wymianą informacji. Kiedy znaleźliśmy coś, co mogło zainteresować Panią Halinkę, dzieliliśmy się tym z nią. Swoją pasję przekazała córce Paulinie. Kiedy ta została uczennicą Gimnazjum im. Polskich Noblistów w Swarzędzu zaproponowałem jej udział w Ogólnopolskim Młodzieżowym Konkursie Krajoznawczym „Poznajemy Ojcowiznę", a następnie w konkursie plastyczno-literackim „Kwiaty Wielkopolski". W tym drugim Paulina odniosła ogromy sukces, została laureatką pierwszej nagrody w części reportaż – opowiadanie. Nagrodą był wyjazd do Brukseli. Sukces

ten miał dosłownie i w przenośni swoją matkę, czyli Panią Halinkę, która pomagała córce (na co pozwalały i do czego zachęcały reguły konkursowe).

Czasami kierowałem do niej różne osoby szukające informacji związanych z Kobylnicą, oczywiście uprzednio uzyskawszy jej zgodę. Tak też zamierzałem postąpić, kiedy trafiła do mnie studentka z Jerzykowa pisząca pracę o kobylnickim Domu Dziecka. Był to czwartkowy wieczór, 11 lutego 2016 roku. Kiedy jak zwykle w takich przypadkach zatelefonowałem, w odpowiedzi na pytanie: *czy mogę prosić Panią Halinkę?,* od jej męża usłyszałem: *Pani Halinka ma w poniedziałek pogrzeb* (zmarła 10 lutego). O tym, że choruje wiedziałem od dawna. O swojej chorobie mówiła rzeczowo, a kolejne pobyty w szpitalu nie załamywały jej. Jednak, kiedy dowiedziałem się, że odeszła, to chyba straciłem na chwilę umiejętność logicznego mówienia, a zdarza mi się to rzadko. Zdałem sobie sprawę z tego, że już nigdy nie usłyszę pełnego optymizmu głosu Pani Halinki. Jej odejście oznacza niepowetowaną dla nas stratę osoby tak bardzo wspomagającej poszukiwania wiadomości o naszej małej ojczyźnie, a zarazem ogromnie życzliwej. Kiedy napisałem o tym maila do Pauliny, ta odpowiedziała: *Moja Mama oprócz szeroko zakrojonej wiedzy, była najmądrzejszym psychoanalitykiem, psychologiem, plastykiem, historykiem. Można długo wymieniać i zapewne by się o czymś zapomniało. To jest ogromna strata. Dla mnie jest to strata najważniejszej osoby w życiu, której zawdzięczam mój charakter i to kim jestem. Zawsze przy mnie stała i kierowała z powrotem na dobre tory gdy zachodziła taka potrzeba. Była wspaniałą osobą kochającą ludzi, za to, że po prostu są.*

Włodzimierz Buczyński

Wspomnienie serdeczne – Marii i Józefa Olejniczak

„Im głębiej wyrzeźbi cię smutek tym więcej radości pomieścisz”

To motto towarzyszy mi od śmierci moich Kochanych Rodziców , którzy odeszli 19 sierpnia i 17 września tego roku, dając nadzieję przyszłej radości. Rodzice żyli razem 60 lat i odeszli jedno za drugim, prawie razem, najpierw Tato potem za cztery tygodnie Mama

Mój ból jest żywy i świeży….minęło tak niewiele czasu.
Moi kochani rodzice towarzyszyli mi przez 58 lat, Mama przez całe moje życie była moją najlepszą przyjaciółką.

Było nas pięcioro rodzeństwa. Dorastałam w domu, w którym dzieci były bardzo ważne. Mądrze uczone życia i odpowiedzialności, wzajemnego szacunku i miłości. Od najmłodszych lat troszczyliśmy się o siebie wzajemnie. Mama i Tato pracowali bardzo ciężko przez całe życie. Jak większość ludzi z ich pokolenia budowali wszystko od zera. Marzeniem Mamy było posiadanie dużego gospodarstwa rolnego, co udało się jej osiągnąć.

Nasze dzieciństwo mocno związane było z gospodarstwem, w którym wszyscy pracowali zgodnie z możliwościami określonymi wiekiem. Na „Dziedzica „ gospodarstwa wyznaczony został mój starszy o 1,5 roku brat Rysiek. Nie dane było jednak aby rodzice doczekali przekazania schedy Rysiowi. Zginął w wieku 9 lat, od uderzenia kamieniem podczas zabawy dziecięcej. Tutaj też cieple wspominam mojego ukochanego braciszka.

Po tej tragedii Rodzice długo „dochodzili” do siebie, zmienili wszystko w życiu, sprzedali gospodarstwo bo nie było już młodego gospodarza, straszy brat wybrał inną drogę życiowego rozwoju. Wybudowali nowy okazały dom, mama podjęła pracę zawodową , tato był cenionym fachowcem operatorem koparki budowlanej. Zawsze pracował na etacie i pomagał mamie w prowadzeniu gospodarstwa.

Po tak wielkiej stracie , potrafili każdego dnia, dawać nam pozostałym dzieciom swoją miłość i otuchę. Kochali nas bardzo! Mama i Tato byli bardzo różni charakterologicznie, Mama władcza, stanowcza, surowa, ale i kochającą i sprawiedliwa , dzieliła i rządziła w naszym domu niepodzielnie. Tato trochę" wycofany" dobry, kochany i czuły. Zawsze bronił nas dzieci, kiedy narozrabialiśmy, brał winę na siebie a nie rzadko i karę wymierzaną przez mamę.

Kochał Mamę miłością absolutną, był troskliwy, zapobiegliwy , ale był też bardzo zazdrosny, jakby nie był pewny miłości jaką darzyła go mama. Wiem , że kochała go bardzo i do końca była tej miłości wierną. Po wyjściu nas wszystkich z domu rodzinnego, rodzice kilka lat mieszkali sami. W 2005 roku, kiedy nadszedł czas aby objąć ich stałą opieką , przyjęli moje zaproszenie do wspólnego życia tutaj na gościnnej ziemi wierzenickiej, w Bugaju. Oznaczało to dla nich sprzedaż domu, który wybudowali i opuszczenie wszystkich i wszystkiego, co ich do tamtej pory otaczało. Zdecydowali się i od 2006 roku zamieszkali ze mną w Bugaju. Tato, jako osoba bardzo komunikatywna nawiązał kontakt z rodowitymi mieszkańcami tej ziemi.
Przyjaźnie nawiązane przez tatę trwają do dzisiaj, dziękuję Ci Tato!
W tamtym czasie Tato miał 79 lat mama 77. Spędziliśmy w Bugaju 10

szczęśliwych lat. Tato zapalony wędkarz kilka pierwszych lat wędkował w jeziorze Kowalskim, Mama prowadziła dom.

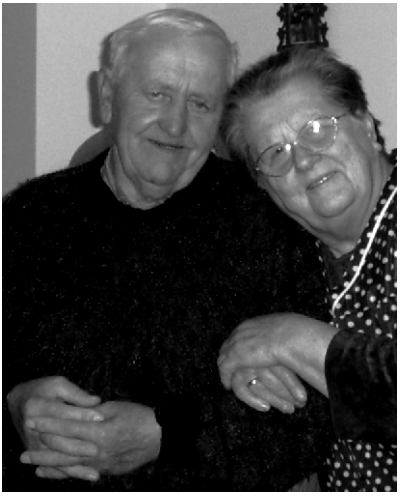

Starzeli się razem, w radości i smutku, w zdrowiu i chorobie byli ze sobą bardzo związani. Odeszli razem zostawiając, pusty dom i tęsknotę. Kochani Rodzice, dziękuję Wam, za wszystkie drobne chwile zrozumienia, niedostrzeżone gesty dobroci, setki łagodnych uśmiechów tysiące drobnych gestów przyjaźni , które złożyły się na moje życie.

Kocham Was bardzo, Mariola

Małżonków Józefa i Marię Olejniczaków10 poznałem ok. 10 lat temu odwiedzając rodzinę w nowo wybudowanym domu w Bugaju. Na początku razem z córką przyjeżdżali do kościoła. Potem już nie mogli. Czasami jeszcze na Mszę św. przyjechała Maria.. Obojga przez kilka lat odwiedzałem w każdą I sobotę miesiąca z Komunią Św. Z Marią miło można było porozmawiać. Małżonek nie dosłyszał i dlatego raczej mniej włączał się do rozmowy. Za to cała okolica znała go doskonale z wcześniejszych jazd na rowerze. Potrafił rzeczywiście nawiązywać kontakty z wieloma osobami. Nie raz mnie pytano, jak się dziadek czuje, bo teraz nie można go już spotkać. W chorobie czasami byli trochę zmęczeni sobą ale czuło się ich wielką miłość i wzajemną troskę o siebie. Odeszli razem jedno po drugim na przestrzeni niespełna miesiąca. Maria uczestniczyła w ceremonii pożegnania swojego męża, za kilkanaście dni sama nagle odeszła. Oboje wrócili do z naszej ziemi do Ostrzeszowa, skąd przyjechali.

dop. x Przemysław Kompf

Odchodzenie do wieczności osób, które się kocha jest zawsze trudnym przeżyciem dla najbliższych. Do tego jako ludzie się przygotowujemy. Jeszcze trudniejsze jest żegnanie jednego po drugim. Solidarność ludzka nakazuje wtedy modlitwę o pokrzepienie dla tych, którzy szczególnie przeżywają taką sytuację. x PK

Ukochany wujek Franciszek Wróblewski

Dla redakcji „Wierzeniczeń" chciałbym krótko wspomnieć o moim ojcu chrzestnym, wujku Franciszku Wróblewskim. Był on bratem mojej mamy Weroniki z d. Wróblewska Burkowskiej. Kiedy się ożenił, zamieszkał jeszcze przed wojną w Wierzenicy. Mieszkał niedaleko kościoła w domu z filarkami. Moja rodzina mieszkała wtedy w Swarzędzu. Kiedy zaczęła się wojna, mój ojciec Józef Burkowski został powołany do wojska i brał udział w kampanii wrześniowej. Potem dostał się do niewoli i całą wojnę przebywał na robotach w Niemczech. Moja mama została więc sama z małymi dziećmi pod opieką. W mieście brakowało żywności. W pamięci mojej mamy utrwalił się opis jak wielokrotnie szła tzw. latówką nocą piechotą w obie strony do Wierzenicy do swojego brata. Było to nielegalne, gdyż Polaków obowiązywała godzina policyjna. Wujek Franciszek czym tylko mógł wspomagał swoją siostrę i ratował nas od głodu. Na wsi też było trudno z żywnością. On pracował wtedy w wierzenickiem majątku będącym oczywiście pod zarządem niemieckim. Jakoś umiał sobie radzić. Mojej rodzinie pomagał także po wojnie. Wspierał nas nie tylko żywnością. Pamiętam, jak wołami zaprzęgniętymi do wozu przywoził nam opał do palenia. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych wujek Franciszek rozpoczął budowę swojego nowego domu w Kobylnicy, dokąd potem z Wierzenicy się przeprowadził i mieszkał aż do śmierci. Wtedy my rodzinnie, ja z moim ojcem i bratem, wspieraliśmy jego w tej budowie, odwdzięczając się trochę za całą jego życzliwość dla nas. Kiedy w 1966 roku zawierałem małżeństwo, wujek Franciszek był obecny na moim ślubie. Nie potrafię podać dokładnej daty jego śmierci. Miało ona miejsce w latach siedemdziesiątych. Jest pochowany razem z swoją żoną na cmentarzu w Wierzenicy. Uczestniczyłem w jego pogrzebie. To był rzeczywiście najukochańszy brat mojej mamy.

Stanisław Burkowski (oprac. xPK)

Pan Jasiu z Wierzenicy

Rożne są przymiotniki określające człowieka. Zasłużony, wspaniały, niezastąpiony etc. Jednak jeśli miałbym o kimś napisać „dobry człowiek", to moja myśl kieruje się ku świętej pamięci panu Jasiowi Rajewiczowi z Wierzenicy. Właśnie tak. Nie pan Jan, tylko pan Jasiu – tak wszyscy mówiliśmy, co było bardzo znamienne. Był stałym elementem wierzenickiego krajobrazu. O wszystkim wiedział, no cóż, nasz sklep, który prowadził, jest głównym centrum informacji, wszystkim się przejmował. Nigdy jednak nie usłyszałem złego słowa z jego ust o kimkolwiek. Taki był.

Jakże żałuję, że nie porozmawiałem więcej i bardziej na temat Wierzenicy. Był skarbnicą wiedzy i anegdot. Wierny czytelnik Wierzeniczeń, często miał coś do dodania, sprostowania. Była to duża radość widząc Go czytającego w sklepie nasze pismo mimo, że kolejka.

Zawsze jednak wydawało się, że pan Jasiu ma tyle lat przed sobą. Nawet wtedy gdy przygotowywał się do operacji. Po sąsiedzku jeździłem jako kierowca wraz z nim na giełdę o trzeciej w nocy. Byłem potem nieżywy cały dzień. A pan Jasiu nasz skromny wierzenicki sklepik zaopatrywał tyle, tyle lat. Chodząc rano po pieczywo, nabiał nie zdawałem sobie sprawy z pracy jaka za tym stała. To był codzienny trud, świątek, piątek. Byłem świadkiem jak był lubiany przez hurtowników, rzeźników i inne osoby u których zaopatrywał się w towar.

Wiele razy rozmawialiśmy pod sklepem, pod domem czy jak chodził doglądać pola. I zawsze z tych chwil czerpałem spokój i radość. Bo pan Jasiu mówił o dobrych, zwykłych, codziennych stronach życia. O pogodzie, zasiewach, zbiorach, stawie, niedomaganiach samochodu i tak dalej, dalej. I o wnuku niejadku.

No cóż. Chodzę teraz wieczorami na cmentarz i opowiadam co tam słychać w Wierzenicy . I wracam jakiś spokojny. Świętych obcowanie.

sąsiad

Wierzeniczenia * 7 /132/ 2016 Rok XVII
Pismo wychodzące przy Parafii p.w. św. Mikołaja w Wierzenicy
Redagują: ks. Przemysław Kompf, Ewa Buczyńska, Włodzimierz Buczyński,
Maria Szlachciak, Maciej Dominikowski /redaktor odpowiedzialny/
fotografie jeśli nie zaznaczono inaczej Włodzimierz Buczyński
skład, łamanie i opracowanie graficzne Maciej Dominikowski
adres: Wierzenica 46 * 62-006 Kobylnica e-mail wierzenica@wp.pl
strona internetowa: Weronika i Piotr Pomin

Druk: "Drukarnia Swarzędzka"
www.drukarniaswarzedzka.pl
Stanisław i Marcin Witecki
Swarzędz ul. Pogodna 24 a tel. 061 817 27 64

Znak Dobra
WIERZENICZENIA
LAUREAT NAGRODY
DZIENNIKARSKIEJ 2013